

Na skraju wojny domowej

Nie robimy ze spiskowców KOD-u. Cezara morduje jego własne zaplecze.

ROZMOWA
Z **BARBARĄ WYSOCKĄ**
reżyserką „Juliusza Cezara”, którego premiera odbędzie się w sobotę w Teatrze Powszechnym

WITOLD MROZEK: Miał być współczesny lewak Dario Fo i „Przypadkowa śmierć anarchisty”. Robisz Szekspira.

BARBARA WYSOCKA: Wszyscy pytają: „Zdecydowała się pani na ten tekst przed wyborami czy po wyborach?”. Zdecydowałam się kilka miesięcy przed wyborami. Chyba słusznie. Ostatnie wydarzenia pokazują, że na farsę polityczną Fo już za późno.

Została nam tragedia?

- Niestety. Choć wybór tekstu zawsze odbywa się trochę przypadkowo, intuicyjnie. Ten zabrzmiał nagle bardzo aktualnie, ale nie chodzi o to, by robić proste aluzje.

Brutus nie będzie Gowinem?

- Spektakl zdechłby po miesiącu. Szekspir zostawia pole do interpretacji. Nie mówi: Cezar tyran chciał władzy absolutnej, dobrzy spiskowcy go obalili, potem coś wymknęło się spod kontroli i zaczęły się kłopoty. Spiskowcy to źli, sfrustrowani amatorzy. Nie dopisujemy scen, nie przekładamy ich na współczesny język. Za to nieustannie dyskutujemy, jak ten tekst można przeczytać dziś. Do każdej frakcji w „Juliuszu Cezarze” przymierzaliśmy rozmaite opcje polityczne. Trudno jest uciec od dosłowności, a równocześnie powiedzieć to, co chcemy. Nie da się do końca zaplanować, które sensory wybrzmiały na scenie.

„Juliusz Cezar” nie jest często grany.

- W Polsce. Nie wiem dlaczego. To sztuka z wyrazistymi, ciekawymi aktorsko postaciami, dobrze prowadzo-

ną intrygą. Może jej wystawianie wydaje się zbyt oczywiste? Może za dużo w niej słów? To sztuka o gadaniu, manipulacji, budowaniu i niszczeniu za pomocą słów. Opowiadamy historię niewielkiej, wybranej grupy ludzi. To nie tak, że Cezar przeciwstawiony jest tu opozycji. Jest raczej Cezar i jego współpracownicy; ludzie, którzy zawdzięczają mu karierę, bez niego byłiby niczym.

Mam żoliborskie skojarzenia.

- Nie robimy ze spiskowców KOD-u. Widzę raczej grupę, która jest z Cezarem od zawsze. Cezara morduje jego własne zaplecze polityczne. Nie byłoby dobrze dopowiedzieć, kto jest kim. W jakimś celu Szekspir nie opowiedział się jednoznacznie za spiskowcami.

Jak się gra w reżyserowanym przez siebie spektaklu?

- Zobaczymy (*śmiech*). Antoniusz - moja postać - ma specyficzną funkcję. Pojawia się tuż po zabójstwie Cezara, gdy spiskowcy nie radzą sobie ze skutkami zamachu stanu. Nie mają planu, są niekompetentni, państwo zaraz się zacznie rozsypywać. Antoniusz prowokuje rozpad rzeczywistości. U nas to ingerencja w rzeczywistość sceniczną: reżyser rozwała własny spektakl. Nie wiem, co z tego wyniknie. Ale chcę zaryzykować, by ten teatr był żywy. Nawet jeśli potencjał tej sytuacji nie zostanie uruchomiony na premierze, będzie mógł zaistnieć później.

Dalej cię zameczają pytaniami, jak łączysz aktorstwo z reżyserią, operę z teatrem?

- To chyba przestało być w Polsce egzotyczne. Choć nadal znajdzie się wiele osób, które o sztuce czy teatrze myślą w sposób zawężony, ściśle nadając role i rozdzielając władzę. Działam na nerwy tym, którym nie udaje się takie połączenie. Wiele razy słyszałam, że nie da się połączyć aktorstwa i reżyserii. Dla mnie reżyseria była naturalnym poszerzeniem pola działania, po studiach muzycznych i aktorskich. Od dzieciństwa byłam przyzwyczajona do dyscypliny, ha-



„Juliusz Cezar” Szekspira w reż. Barbary Wysockiej to najnowszy spektakl Teatru Powszechnego. Premiera w sobotę

rówki 12 godzin dziennie ze skrzypcami. Praca, która ściśle wypełnia czas, to dla mnie norma. Nie miałam ciśnienia na robienie kariery reżyserkiej, za to przyciągałam ciekawe propozycje. Johan Simons przyjechał obejrzeć mój spektakl „Lenz” w Teatrze Narodowym i zaprosił mnie do Kammerspiele w Monachium.

Opera to konsekwencja studiów muzycznych?

- To był telefon i propozycja nie do odrzucenia. Padł termin i tytuł „Zagłada domu Usherów”. Tak wyglądało moje wejście w świat opery.

Łączenie ról reżyserki i aktorki daje większą wolność?

- Pozwala zajmować nowe pozycje, przekraczać granice. Wchodząc na scenę, mogę na własną odpowiedzialność powiedzieć więcej. Mogę też obserwować operację na otwartym sercu teatralnym, kierować nią. To unikalne doświadczenie. Interesuje mnie robienie teatru w czasie rzeczywistym, kiedy mogę powiedzieć aktorowi: „Teraz wejdź i zagraj”. To ważne, kiedy ze sceny mówi sam reżyser, bo reżyseria to nie narzuca-

nie sensów, ale otwieranie możliwości. Na spektakl przyjdzie ty, przyjdzie Jan Englert. Coś innego mu się spodoba, na co innego będziecie narzekali.

Jak aktorzy czują się z tym, że dopiero co z nimi grałaś, a teraz reżyserujesz?

- Co w tym niezwykłego? Ze wszystkimi spotkałam się już na scenie. Z niektórymi pracowałam jako reżyser. To wspaniała ekipa, podziwiam ich zaangażowanie, determinację, otwartość. Każdy zrobił świetną rolę. Ja wchodzę na scenę, by zagrać czarny charakter. Zadanie nieduże, ale pokrywa się w pewnym sensie z zadaniem reżysera. Antoniusz też zmienia rzeczywistość.

Kto ma władzę w teatrze?

- Zależy w którym. Relacje władzy w teatrze znam od wielu stron. Najgorsze doświadczenie to aktorka na etacie, której dyrektor jest sfrustrowanym świrem. Najbardziej absurdalne miałam podczas reżyserowania „Lucji z Lammermooru” w Bayerische Staatsoper w Monachium.

Zamordyzm?

- Nie, ale w tej instytucji ekscysem była trzydziestoparoletnia Polka reżyserująca operę belcanto na dużej scenie, w wielkiej obsadzie. Myślę, że oni chętnie by mnie widzieli gdzie indziej w swoim mieście.

Gdzie?

- Na zdecydowanie niższej pozycji. Delikatnie mówiąc.

Władza to problem, jeśli znajdzie się w rękach ludzi małych. To też temat „Juliusza Cezara”. Ale są teatry, których dyrektor nie stara się grać dyrektora za pomocą demonstracji siły. Tak jest w Polskim we Wrocławiu. Tam dużo rzeczy się udaje, bo Krzysztof Mieszkowski stwarza dobre warunki artystom. Dziś pracuję więcej w Warszawie ze względu na rodzinę, ale może kiedyś tam wrócę. **Nie boisz się o pracę? Ministerstwo Kultury powoli wprowadza zmiany...**

- Powoli? Bardziej boję się, co będzie z tym krajem. „Juliusz Cezar”

to ostrzeżenie przed przyszłością na skraju wojny domowej.

Myślisz, że to w Polsce możliwe?

- Obejrzyj Marsze Niepodległości. Tam stają naprzeciwko siebie armie. Boję się o kulturę, o prawa obywatelskie, jestem przerażona ostatnimi decyzjami rządu. Zastanawiam się, czy chcę, by moje dzieci dorastały w takim kraju. Jak można nie widzieć problemu w tym, co się dzieje? Nie ukrywam, że propozycje z zagranicy stały się trzy razy bardziej kuszące.

Emigracja?

- I tak pracujemy w różnych częściach świata. Dopiero co wróciliśmy z trasy po USA z „Chopinem bez fortepianu”. Mieliśmy owacje na stojąco po każdym z dziesięciu spektakli. Amerykanie wszystko rozumieli, poza żartem o Warszawskiej Jesieni. „Szapocznikow. Stan nieważkości” pokazaliśmy w grudniu w Moskwie, też mieliśmy bardzo dobre przyjęcie.

W Warszawie pracuje się trudniej niż we Wrocławiu czy Bydgoszczy? Stolica nie ma szczęścia do poszukującego teatru.

- Tym bardziej trzeba tu pracować, szukać obszaru, w którym można to naprawiać. Współpracuję z różnymi instytucjami: Teatrem Powszechnym, Nowym, ale też Muzeum Sztuki Nowoczesnej, kebabem Aden, Muzeum Powstania Warszawskiego, Polskim Radiem.

Powrót do Warszawy był twoim celem?

- Nigdy jej nie opuściłam. Wyjeżdżałam na studia muzyczne do Niemiec, potem do Krakowa, by studiować teatr, ale nigdy nie chciałam tam zostać. Właściwie przez dziesięć lat dojeżdżałam na studia albo do pracy. Teraz mogę dojeżdżać metrem z mieszkania w centrum, a po drodze odprowadzić syna do przedszkola. To o wiele przyjemniejsze. Moja praca jest nierozdzielnie związana z wyjazdami. Wiosnę spędzamy w Berlinie, lato w Bregencji, jesienią znów pracuję w Warszawie. ●

ROZMAWIAŁ **WITOLD MROZEK**